Tom XIV. 1. maja

Nr. 13. 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Marek.

Gromada polska we wsi Kowalówce fundowała szkołę wsiową, sprowadziła piśmiennego organistę, który ładnie zagra i zaśpiewa w kościele, ale potrafi i małe dzieci wiejskie nauczyć wszystkiego dobrego w szkole i jest oraz pisarzem gromadzkim. Toż od kilku lat wyuczyły się wszystkie dzieci czytania, pisania i śpiewają ładnie w kościele przy każdem nabożeństwie. Czy to na odpuście, czy w święto jakie, czy na procesyi jakiej, to ci te dzieci razem z xiędzem i organistą tak milutko śpiewają z książki pobożnej, że aż się dusza raduje.

Otóż na św. Marka przypada u nas Polaków co rok nabożeństwo i procesya na pole albo koło kościoła, gdzie śpiewają wszędzie litanje i inne pobożne pieśni. Pan organista i nauczyciel kazał szkolarzom przyjść na to nabożeństwo, a gdy się szkolarze zeszli do szkoły rano i było jeszcze dosyć czasu do kościoła, zapytał on jednego szkolarza tak:

— A wiesz ty, nieboże, kto to był ten św. Marek, na którego przypada u nas w polskim kraju co rok to nabożeństwo?

A szkolarz mówił na to:

— To był pewnie jakiś święty na ziemi ten Marek, bo jest nawet w kalendarzu na dzień 25. kwietnia, ale co on był, to ja jeszcze nie wiem.

Na to pan organista rzecze:

— Otóż uważajcie dzieci, a ja wam zaraz opowiem, kto to był ten św. Marek. On był rodem z miasta Jerozolimy z przedmieścia Ofel, gdzie byli ludzie biedni, ale do tego pobożni i do dobrego bardzo ochotni, bo to ci pobożni przedmieszczanie witali zawsze Pana Jezusa serdecznie w Jerozolimie, a w kwietnią niedzielę słali Mu szaty pod stopy święte i wołali: Błogosławiony który idzie! Toż ojcowie Marka byli pobożni i dobrzy ludzie i zaraz za młodu uczyli Marka bojaźni bożej i dodawali mu ochoty do nauki i do pobożnego życia. Marek ten miał i drugie imię Jan, a będąc chłopakiem pracowitym, posłuchliwym i ochotnym na wszystko dobre, widział nieraz na żywe oczy samego Pana Jezusa w Jerozolimie i nieraz z ciotecznym bratem Barnabaszem, przysłuchiwał się nauce Pana Jezusa czy to w kościele jerozolimskim, czy na mieście czy też gdzie w domu jakim u pobożnego gazdy. Jako młody chłopak nie mógł jeszcze dobrze wyrozumieć wszystkiego, co słyszał od Pana Jezusa, toż powiedział sobie tak:

— Poczekaj! jak mi Bóg pozwoli doczekać i ja jeszcze podrosnę, to ja się wyuczę dokumentnie całej nauki Pana Jezusa, a potem zarzucę gospodarkę i robotę na chleb, a pójdę w świat nauczać drugich czy to krajowców czy obcych, to mi wszystko jedno.

— No! i cóż zrobił? zapytali szkolarze.

— Tak zrobił, jak sobie w dobrej myśli ułożył, powiada pan organista. Oto jakie dziesięć lat po wniebowstąpieniu Pana Jezusa, kiedy już miał Marek swoje lata i rozum dobry i poznanie pobożne i dobrą zwagę na wszystko na świecie bożym, porzucił grunt po ojcu i zdał gospodarkę na krewnych, a sam przystał do św. Apostołów Piotra i Pawła, ochrzcił się i został z żyda chrześcianinem i powiedział tak sobie: Juści trza i na gruncie robić na chleb, ale gdzie ma dwu albo trzech siedzieć na kupie i biedować albo się i kłócić, to niech drudzy

idą w świat między ludzi i tam szukają chleba i zbawienia, a jeden zostanie na gruncie, a komu daje Bóg rozum i naukę, to niech drugich poucza i prowadzi do dobrego. I zdał cały grunt spokojnie na swojaków, sąm zaś w jednej koszuli ale z myślą o Bogu i ludziach poszedł nauczać tego, co sam za młodu słyszał od samego Pana Jezusa, a potem douczył się od św. Piotra i Pawła. Wziął także z sobą ciotecznego brata Barnabę i chodził długo z św. Pawłem Apostołem po wsiach, po miastach, pomagał nauczać, chrzcić, fundować parafie najpierwsze na świecie, ą gdy św. Paweł wybrał się daleko w podróż, to Markowi zrobiło się jakoś ckliwo i żałośnie za swojakami i przystał w Jerozolimie do św. Piotra Apostoła i nawracał krajanów swoich w Jerozolimie i Antyochii, bo gadał sobie zawsze tak: „Co krajan to zawsze najbliżej serca, na jednej ziemi urodzony, między swojakami wychowany, od swojaków wyuczony, toż i umierać miło między swojakami, a za życia najlepiej robić dobrze swojakom!“ — A gdy były już parafie w Jerozolimie, Samaryi, Antyochii, i po całym kraju żydowskim, gdy Marek nawrócił dosyć swojaków, poszedł potem do Rzymu, gdzie św. Piotr i Paweł fundowali już parafię między poganami, i tam znowu nawracał pogan i nie bał się żadnego strachu, ani groźby urzędników pogańskich, jeno od rana do wieczora chodził po domach i ulicach i nawracał każdego do Pana Jezusa, a nie zważał na głód, na biedę, ani na zimno ani na gorąco, ale służył wiernie Panu Jezusowi.

Aby zaś pobożni ludzie mieli co do czytania i rozmyślania w dni świąteczne, to znowu spisał Marek wszystko, co jeno wiedział o Panu Jezusie, o Jego narodzeniu, o nauce i cudach i o męce całej, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu i ta książka pobożna Marka nazywa się do dziś Ewanielią św. Marka. Otóż widzicie dzieci! jak to św. Marek obracał wszystko, co sam umiał, na chwałę bożą i dla zbawienia drugich ludzi — co sam nauczył się od św. Piotra i Pawła o Panu Jezusie, to co do słówka bez myłki opowiadał drugim, a jak znowu potrafił pisać, to opisał całe życie Pana Jezusa i dał to przeczytać św. Piotrowi, a potem rozdał między ludzi, aby sobie każdy w święto przy spoczynku odczytywał i rozważał, jak to

trza żyć i robić, aby sobie zarobić na chwałę u Pana Jezusa, aby być dobrym Polakiem i katolikiem.

Ale zapytali szkolarze:

— A co się też dalej stało z tym św. Markiem?

Na to pan organista rzecze:

— Jak kto ma dobry rozum i dobrą naukę i jest życia pobożnego, to takiego chcą wszyscy mieć u siebie. Toż i św. Marka posłał św. Piotr aż do miasta Aleksandryi za morze do Afryki, gdzie były wielkie szkoły, mądrzy ludzie z całego świata, gdzie było dużo żydów, pogan Greków, którzy nie znali prawdziwego Boga, ani nauki Pana Jezusa, trza było posłać także bardzo pobożnego i mądrego Apostoła do tak wielkiego miasta, aby tam nawracał ludzi. A św. Marek był takim, to pojechał na okręcie z ochotą do tego miasta i tak tam pracował, nawracał, nauczał, że fundował tam parafię i był tam nito biskupem najpierwszym. A był tak pobożny i przykładny, że się wszyscy ludzie patrzali na jego życie, robili tak samo, a dla wdów i sierót był tak miłosiernego serca, że wszystko, co miał, rozdał między nich, a znowu wypraszał u bogaczów przeróżne jałmużny i te dzielił tak że tam nikt nie umierał z biedy ani z utrapienia jakiego, ale każdy z ochotą przynosił do niego różne dary, aby rozdawać między ubogich ludzi i chorych. Toż gadali ludzie po całym świecie tak:

— Patrzajcie! u nas w mieście Aleksandryi daje każdy bogacz z ochotą dla ubogich, tak samo jak robią wszędzie dobrzy chrześcijanie, a nie ma między ludźmi ani zazdrości żadnej, ani łakomstwa na cudzą pracę, ani zawiązku żadnego, ani też chudak nie robi szkody bogatemu, jeno żyją ubodzy i bogaci cicho w zgodzie w miłości i kochają się jak bracia, bo tak przykazał Pan Jezus i tak nauczają św. Apostołowie. I tak biskupował św. Marek długo w Aleksandryi, był od pogan i żydów za świętego uważany i umarł tam roku pańskiego 62 po narodzeniu pańskiem za cesarza strasznego w Rzymie Nerona — przeżył też św. Marek 70 lat z okładem i nawracał ludzi więcej niż 40 lat, zeszedł dużo świata, założył kościół biskupi najpierwszy w Aleksandryi i po jego śmierci dopiero byli tam głośni i bardzo pobożni biskupi, nazwani patryarchami,

a gdy św. Marek umarł w miesiącu kwietniu, toż przypada jego święto w kalendarzu zawsze w kwietniu na cały polski kraj.

A jeden szkolarz zawołał na to:

— Ho! ho! to już temu 1800 lat akuratnie jak św. Marek umarł w Aleksandryi i tam był pochowany.

— A doskonale utrafiłeś, rzecze pan organista — jeno ciało św. Marka leżało jakie 800 lat w Aleksandryi, dopóki tam byli chrześcijanie, a jak przyszli Turki i miasto zabrali i chrześcijan wymordowali i wygnali, toż ciało św. Marka zawieźli chrześcijanie do miasta Wenecyi do kraju włoskiego, tam go złożyli i na grobie wyfundowali bardzo bogaty kościół, nazwany do dziś kościołem św. Marka, a na tę pamiątkę nazwali cały wielki plac koło tego kościoła taksamo placem św. Marka. Otóż widzicie dzieci, że dobry i pobożny człowiek robi wszędzie dobrze i jego dobre uczynki uwielbia cały świat — św. Marek urodził się w Jerozolimie, umarł w Aleksandryi, a potem przeniesiono jego święte ciało do Wenecyi, i tam stoi na grobie kościół z samego prawie marmuru, a my pobożni ludzie czcimy go i w naszym polskim kraju, choć on ani znał, ani widział Polaków.

A szkolarze zapytali w końcu:

— A na co to jest procesya na tego św. Marka po kościołach polskich?

— Zaraz wam opowiem, rzecze pan organista. Na początku nie było tej procesyi w dzień św. Marka, aż raz spuścił Bóg wielkie utrapienie na grzesznych ludzi, którzy bardzo umierali po miastach. Było wtedy straszne morowe powietrze, ludzie dostawali wielkiego kichania i ziewania i z tego padali jak muchy do razu. Umarło bardzo wiele ludzi w Rzymie, gdzie siedzi Ojciec św., toż Ojciec św. Grzegorz Wielki ustanowił na wiosnę akuratnie w sam kwiecień nabożeństwo takie, że ludzie schodzili się do kościoła i ztamtąd szli procesyami do kościoła wielkiego Najświętszej Panny Maryi, a po drodze śpiewali litanię do wszystkich świętych i różne pobożne pieśni — a gdy tak prosili Boga szczerze i poprawili się, to ustało powietrze. Otóż na tę pamiątkę była ta procesya potem co

rok w Rzymie i to przypadało zawsze w sam dzień św. Marka t. j. 25. kwietnia i tak też zostało raz na zawsze. A ponieważ Polacy byli zawsze pobożni i mieli nie raz morowe powietrze w polskim kraju, a potem gdy zawsze po zimie są różne choroby na biednych ludzi, toż biskupi i króle polscy zrobili taką samą ustanowę, aby w dzień Marka św. było wszędzie nabożeństwo pokutne a potem procesya po miastach i wsiach polskich, aby Polacy w ten dzień prosili Boga, by bronił ich cały kraj od moru, od chorób wiośnianych, od nagłej i niespodziewanej śmierci. A gdy znowu przypadają w Polsce zasiewy wiośniane w tym czasie, toż mają Polacy rozumną przypowiastkę taką:

„Na świętego Marka, późny owies a wczesna tatarka.“

Otóż prośmy św. Marka i świętych naszych patronów, aby za ich przyczynieniem oddalał Bóg od nas Polaków głód, mór i choroby — a my wszyscy bójmy się Boga, żyjmy pobożnie, zgodnie, trzeźwo i w pracy, a da nam Bóg błogosławieństwo swoje.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Dziewozyna i wojacy.

(Piosnka z roku 1831.)

— Hej panienko dla Boga,
Czy się boisz Polaków
Czy do Lidy to droga
Czy tu nie ma kozaków?

— Da uchowaj nas Boże!
Tu nie było Moskali —
Lecz w zaścianku w Żaborze
Dotąd puszcza się pali!

Troje dzieci zabili,
Matkę z chaty wygnali,
Potem chatę spalili
I jałówkę zabrali!

Niech waspanów nie gniewać,
Żem nie chciała zaczekać,
Lecz tu w Polsce dziś dziwa —
A wszak trzeba uciekać!

Jam myślała... nie powiem...
Lecz teraz czas taki...
Jam myślała... ej powiem...
Że waspaństwo Kozaki..

— Nie my duszko Polacy,
My z za Niemna przybyli!
— A czy wszyscy tam tacy?
To i nie dziw, że bili!

Janusz

Zginione dziecko.

(Na przestrogę dla matek.)

Płacz głośny zrozpaczonej kobiety rozlegał się po wsi.

Było to pod wieczór, w miesiącu czerwcu, i wieśniacy właśnie co tylko od dziennej wracali pracy.

— Cóż to?

— Cóż się stało?

— Jakież to nieszczęście? — pytano, i ze wszystkich domostw wybiegali chłopi, niewiasty i dzieci — i w kilku chwilach wyrzekała wieś cała, a kobiety w koło żałosnym zawodziły płaczem.

— Cóż się stało? — zapytały dwie panie, nadchodzące ode dworu.

W pośrodku gromady stała Marcinowa Woźniaczka i załamując ręce, z krzykiem i jękiem płakała. A mąż jej stał opodal, blady gdyby trup, załamał ręce, a w oczach szeroko rozwartych łzy stały.

— Cóż się stało za nieszcząście? — zapytały znowu panie, przystępując do gromadki.

— Oto, wielmożne panie, mały Franuś...

— Woźniaczka poszła w pole...

— Dziecko ot było samuśkie...

— Mały Franek...

— On, oj, był przy robocie...

— O Jezu mój najświętszy!

Wołali wszyscy razem, okrążywszy panie, że i nikogo zrozumieć nie mogły.

— Ale cóż się stało? — pytała panna Marynia, córka dziedzica — opowiedzcież wy nam, Czajkowa — i panna zwróciła się do stojącej bliżej kobieciny, zapłakanej, ale więcej krzyczącej jak drugie.

— Oto, proszę wielmożnej panienki i wielmożnej pani — pokłoniła się kobieta i pani Godzkiej, krewnej dziedziców — chłopiec Woźniaków, czteroletni Franuś gdzieś zginął. Był, oj, na południe jeszcze. Potem Marcin poszedł na robotę, a Mar-

cinowa w pole, zostawiwszy dziecko przed domostwem. A gdy, oj, wróciła pod wieczór, to już go nigdzie nie było. Obiegła wieś całą, ogrody, wołała, krzyczała, ale chłopca jak nie ma, tak nie ma.

— Może się gdzie położył i zasnął — zauważyła pani Godzka.

— Obszukaliśmy już wszędy, w każdej budzie, na każdym zagonie po ogrodach. I szukaliśmy po wszystkich chliwach...

— A dzieci drugie, czyż go nie widziały? — zapytała panna Marynia.

— Żadne nic o nim nie wie.

— Jezu, Jezu, mój Jezu! — zajęczała znowu Woźniaczka, rwąc sobie włosy z głowy.

— Uspokójcież się, biedna kobieto! Przecie niepodobna, ażeby dziecko zginęło.

— Teraz wrzeszczy i krzyczy, i rwie włosy i szlocha — groźnie ozwał się Woźniak — a to jeno stało się przez własne niedbalstwo — i pięść skulił z gniewu i żałości. — Dam ja tobie!... Poleźć sobie a dzieciaka na Bożem zmiłowaniu zostawić! Sypnę ja ci tyle jeno się zmieści — i zgrzytnął zębami, grożąc jej pięścią.

— O, Jezu, Jezu!... Marcinie!... Już chyba i sumienia nie macie! — zanosiła się kobieta od płaczu.

— Sumienia!... Ty nie miałaś sumienia, kiedyś dziecko zostawiła bez dozoru i zgubiła!

Panna Marynia przystąpiła do biednego ojca i poczęła go mitygować, uspokajać i pocieszać, głaskała go po ramieniu i po twarzy. A kobiety i chłopi w około szemrali i krzyczeli, że kobieta niedbaluch i matka przytem głupia, zostawiwszy dziecko bez opieki przez tyle godzin, to też ma teraz, na co zasłużyła.

— Trzeba jeszcze szukać! — ozwała się pani Godzka — przecież mały musi gdzieś być.

— Wielmożna pani, może cygani zabrali — zagadał jeden z chłopów.

Woźniakowa przeraźliwie krzyknęła.

— A czy przechodzili tędy? — zapytała panna Marynia.

— Kto ich tam wie! Toćże oni włóczą się wszędy a bezustannie.

— Włóczą się a włóczą — dodała jakaś kobiecina wiekowa — i nikt im tego nie broni. A wszelako byłoby lepiej i dla nich samych, gdyby im kazali gdzie zamieszkać i jakiemu oddać się zarobkowi.

— To się wie! — potwierdził gospodarz Antoni Szumka — musieliby wtedy gminę stanowić, byłby porządek i nie byłoby złodziejstwa.

— Cygani, cygani mojego Franuchnę ukradli! — wołała matka w rozpaczy.

— Przecież tego nikt nie mówi na pewne — przemówiła znowu pani Godzka — biorąc Woźniaczkę za rękę — może dziecko poszło w zboże i zabłąkało się. Wszakżeż żyto jest tuż za wsią.

— A może go kto przejechał, gdy polazł na drogę, wartogłów jaki, a potem trupiątko wziął z sobą na wóz, by się nie wydało, konie zaciął i het pojechał! — ozwał się jakiś parobczak młody.

— I zrzucił go potem gdzie w krzaki, albo też w ziemię zagrzebał — dodał drugi.

W tej chwili nadeszła ode dworu sama dziedziczka, a dowiedziawszy się co zaszło, wydała rozkaz, by dziecka po zbożach szukano. I niebawem też dworska służba: pisarz, ogrodnik, kucharz, lokaj i chłopiec, zabrawszy psy z sobą, puścili się na szukanie chłopczyka. Po dwugodzinnem szukaniu, zrobiwszy formalną obławę, bez dziecka wszelako wrócili.

— Gdyby i trupek gdzie leżał, toćby go przecie psy były znalazły — mówił ogrodnik — ocierając pot z czoła, bo wszyscy szczerze szukali.

— Najpewniej, że chłopca ktoś zabrał — wyrzekł kucharz.

— A może i przez swawolę, na psotę, na umartwienie! — dorzucił lokaj.

— Niechby go tam!... — zaklęły kobiety — taki człek nie wart, jeno włosy mu wydrzeć wszystkie!

Panie tymczasem pocieszały rodziców jak mogły — lecz same szeptały sobie, że biedne dziecko zapewne jakiemu podległo nieszczęściu.

Rozbiegli się znowu: matka w jedną stronę, a ojciec w drugą, i poszło z niemi parę parobczaków i dziewcząt. Nawoływania i płacz biednej matki rozlegały się niemal przez noc całą po polach.

Nazajutrz rychło Woźniaczka do sąsiedniego poszła miasteczka, i tutaj swoje zawodziła żale i zgryzoty. Gdy w tem nadchodzi stary wyrobnik z siekierą.

— A co to? — zapytał.

Kobieta opowiada mu swoje zmartwienie.

— Ej no, to podziękujcież Panu Bogu! — zawołał — bo dziecko żyje i w dobrem jest miejscu, a i zdrowe przy tem.

— O Jezusieńku! O Przenajświętsza! — i kobieta na kolana upadła, wznosząc ręce ku niebu. — To i gdzież jest mój synek jedyny?

— Szedłem wczoraj późno wieczorem z gospodarzem ze Skałowa — opowiadał wyrobnik — a kiedyśmy za miastem dochodzili do smętarza, to oj stał tam malec i płakał. Pytamy go: Czyj ty jesteś? — Matusi. — A kto matusia twoja? — Matusia. — Masz ojca? — Mam tatę. — A jak się nazywa? — Tatuś. — Jak ci imię? — Franuś. — Zkąd idziesz? — Z domu. — I na tem było wszystko. Wziął go więc gospodarz z sobą do Skałowa, i tam go znajdziecie.

— O Jezusieńku! Chwałaż Ci Boże na wysokości! — wołała kobieta, składając ręce, jak do pacierza.

— Dziękuj Panu Bogu i Matce Najświętszej, i uczyń ślub jaki, żeś dziecka samochcąc nie zatraciła — mruczał jej nad uchem Marcin, który nadszedł właśnie — a na raz drugi pilnuj dziecka i nie zostaw go bez opieki.

— Tak, tak — ozwał się za nim i stary wyrobnik — już to musieliście nie zważać na chłopca, kiedy zalazł aż tak daleko.

— Szedł znać za matką — mówił Marcin — szedł drogą, lazło sobie a lazło. Szczęście od Boga, że tak się stało! —

złożył dłonie i westchnął do Boga. — To i chodźmyż teraz do Skałowa.

— Idźcież sobie, a znajdziecie zgubę, i Bogu dziękujcie. Matko, a pilnujcież lepiej swoich dziatek! — pokiwał Woźniaczce jeszcze poczciwy wyrobnik.

— Będę strzegła, gdyby oka w głowie! — zawołała kobieta.

Woźniakowie poszli do Skałowa i Franusia odebrali, dziękując z całego serca dobrym ludziom, u których chłopiątko, szczęśliwym trafem, opiekę znalazło.

Marcin wszelako żonie nieraz jeszcze jej niedbalstwo i nierozgarnienie wyrzucał. A wszakżeż miał słuszność i sprawiedliwie ją łajał. To też kobieta milczała i nie odpowiadała mu wcale, bo dobrze czuła, że zawiniła.

Paulina Wilkońska.

Opowiadanie starego Walentego.

Spisał Grześ z Mogiły.

I. Nieco o ziemi i o górach ogniem ziejących.

Gdzie stoi zamczysko w Przemyślu na wysokiej górze, tam po prawej stronie, na pochyłości tej góry ku Sanowi, zobaczysz kilkanaście niezamożnych domków, kryjących się skromnie poza gałęzie gęstej sadowiny. Miejsce to nazywają Podgórzem w Przemyślu.

Owoż w jednym z tych domków mieszkał do niedawna pewien majster rymarski, Walenty, człek bywały po świecie, co nie z jednego pieca chleb jadał, wiele widział, dużo zapamiętał, i to wszystko pięknie opowiedzieć umiał. Głowa u Walentego jakby śniegiem latami przypruszona, wąs krzaczysty także srebrzeć się już począł, ale siły jeszcze krzepkie, a z prostej postawy i znacznej blizny koło ust łatwo poznać, że gdzieś za młodu i szablą z konika wywijał.

Miał Walenty żonę nie bogatą z rodu, ale rządną i uczciwą niewiastę, i z nią jednego syna Wojtusia. A ten Wojtuś, to

była cała jego pociecha! Nie duży, bo dopiero dwanaście lat mógł liczyć, a już taki zmyślny był chłopczyna i taki ciekawy do nauk, że się ojczaszek z ostatniego ściągnął, aby tylko synka posyłać do szkoły na naukę. Pilnował się też Wojtuś, a będąc zawsze jedynym z najlepszych uczniów, nie małą uciechę sprawiał dobremu ojcu.

Było to jakoś w dzień Matki Boskiej, bo w sobotę pod wieczór. Walenty miał gdzieś pod Przemyślem robotę i powracał właśnie do domu. Otwiera drzwi... w izbie ciemno i cicho jak makiem zasiał.

— Hola! jest tu kto? — zagadał Walenty wszedłszy do izby, i począł się rozpatrywać w ciemności.

— To wy tatko! — zakrzyczało coś cienkim głosem, i duchem z pod pieca wyskoczył mały chłopczyna i na szyi się ojcu powiesił. — Dobry wieczór wam po robocie!

— Jak się masz Wojtusiu! a gdzie matka, i czego tak ciemno na izbie? Przecie to dzisiaj dzień Matki Boskiej, a o świecy jak widzę ani dudu.

— Nie gniewajcie się tatusiu! Właśnie matula poszła za świeczką do miasta — jeno co jej nie widno.

— Nie można to było w dzień o tem pomyśleć? Dopiero na ostatni czas się opuszczać... Oj, to nie dobrze! — gderał majster, który, że był sam we wszystkiem akuratny, to chciał żeby i drudzy takimi byli.

— Ale tatulu! — tłomaczył chłopiec — ot i mama! Słyszycie jak pilno bieży przez ogród?

Prawdę mówił chłopiec, bo zaledwie skończył, już się drzwi uchyliły i zadyszana wpadła Walentowa. Nie wybyło i Zdrowaś Marya, już świeczka płonęła w drewnianym lichtarzyku przed świętym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, wprost drzwi na ścianie zawieszonej. Już też i majster się udobruchał, i z twarzą wesołą jak zwykle rozsiadł się na ławce po za dębowym stołem, a wziąwszy Wojtka na kolana i ucałowawszy go w czoło, rzeknie:

— I cóż mi powiesz Wojtku?

— Ja nic! — odpowie chłopczyk objąwszy ojca za szyję — Siedząc sam w ciemnym kąciku myślałem sobie o całym

bożym świecie, myślałem sobie zkąd się to bierze ta ziemia z drzewami i zwierzętami, to niebo z jasnemi gwiazdami, z księżycem i słońcem, i tak mi się to wszystko pomięszało w głowie, żem sobie rady dać nie mógł.

— A cóż to, nie uczyłeś się katechizmu? — zapytał ojciec.

— Toć uczyłem się tatusiu i wiem, że pan Bóg stworzył niebo i ziemię i wszystko co się na nich znajduje; ale gdybym ja mógł to wszystko zobaczyć?

Pan Walenty uśmiechnął się dobrotliwie:

— Ho, ho, mój synu, nie jedną beczkę soli musiałbyś jeszcze spożyć, zaczem byś choć cząstkę świata zobaczył, bo niezliczone są twory boskie, i bez końca. Trudno też nieraz człowiekowi dociec rozumem tej i owej sprawy, ale przecież wielu rzeczy tajemna przyczyna została już odkrytą, a wszystkie te odkrycia spisują ludzie w książki, i na nich to kształci się rozum, od Boga ludziom nadany. Przeróżne odkrycia służą dalej człowiekowi do wyszukiwania pożytku w rozlicznych darach bożych, a starając się pożytkami temi polepszyć dolę swych bliźnich, wynajduje człowiek chleb ze żyta, wełnę z owcy, koleje z żelaza, i tym podobne rzeczy. Wynalazki takie przynoszą korzyść całemu rodowi ludzkiemu, podnoszą majątek i handel narodów, a chwałę Boga, jako twórcy wszystkiego stokroć pomnażają.

— A czy tatuś czytał jaką książkę, gdzieby to było wszystko opisane?

— Trochę czytałem, a dużo i widziałem, bom już nie dzisiejszy, więc ci opowiem po krótce o układzie naszej ziemi i całego świata. Później, gdy będziesz starszym i dójdziesz do wyższej szkoły, to się o tem dużo ładnego nasłuchasz.

Tutaj odchrząknął pan majster i tak zaczął mówić:

— Wiesz już zapewne, jako stoi w piśmie świętem napisano, iż na początku! stworzył Bóg niebo i ziemię, a ziemia była pusta i próżna, i ciemności wielkie wisiały nad jej głębinami. Dopiero gdy Bóg wyrzekł: niech się stanie światłość — stał się na ziemi dzień a po dniu noc, i tak już jest zawsze od niezliczonych wieków. A pisze dalej pismo swięte, jako pan Bóg tworzył potem sześć dni lądy, morza, rośliny, gwiązdy, zwierzęta, a wreszcie człowieka, i jako dnia siódmego

odpoczywał, pracy tej wielkiej dokonawszy. A jakież to długie były owe robocze dnie boskie! każdy z nich ciągnął się przez długie tysiące naszych lat znikomych, a dla wieczności bożej były te lata jedną chwilą, jednym dniem tylko! Łatwo się o tem człowiek przekonuje spojrzawszy na gwiazdy niezliczone, na morza nieprzejrzane, i na góry niebotyczne; a gdy wytęży rozum i zapuści się w głąb ziemi i w morza głębiny, albo szkła sztuczne sobie uczyniwszy na niebo przez nie spojrzy: to jeszcze bardziej chwali wszechmoc bożą, wewnątrz przedziwnych tworów Jego zaglądnąwszy.

Owoż odkryli mądrzy ludzie, że na samym początku, nim jeszcze pan Bóg światłu stać się kazał, nie było w całym świecie nic innego tylko jedna para i para tak daleko, jak dziś jest słońce, księżyc i wszyściutkie gwiazdy. A para ta przewalała się, oziębiała, i nareszcie zaczęła tężeć, nieprzymierzając jak para wodna, gdy w zimnem miejscu znowu się w krople wody zmienia. Podobnież więc i ona para, z której Bóg światy utworzył, stała się po długim czasie płynącą masą, a była ta masa jako żar czerwona i niezmiernie paląca, bo juźci wszystko co dziś jest na ziemi i na niebie, najtwardsze skały, żelazo i złoto, były wtedy razem roztopione, zkąd też i gorąco nie małe się wywiązywało.

— Więc się to wszystko gdzieś musiało rozlać, skoro było jak woda płynące? — zapytał Wojtuś.

— Nigdzie się nie rozlało mój chłopcze, bo za wszechmocnem zrządzeniem bożem krążyło wszystko od wieków naokoło siebie, a i dziś ciągle krąży i już tak bez końca krążyć będzie. Lecz słuchajże dalej! Musiałeś nieraz uważać, że jeśli się woda gotuje, to tyle z niej pary ucieka, żeby jej i w kilka garnków nie pomieścił; a przeciwnie, z wielkiej objętości pary, znacznie mniejsza objętość wody napowrót się robi: owoż podobnie stało się i ze światami. Jak długo krążyła sama para, tak długo było jej wszędzie pełno, a jak to raz w płynącą masę ochłódło, tak tej masy nie mogło już do pełności wystarczyć: więc poskurczała się ona na pojedyńcze, porozrywane między sobą kupki, i oto z tych kupek utworzyło się słońce, księżyc, ziemia nasza i wszystkie gwiazdy błyszczące.

Natenczas rzekł Pan Bóg: — Niechaj będzie światło — i zaczęło się to wszystko porządkować: słońce, księżyc i gwiazdy krążyły teraz na rozkaz boski jako niezmiernie wielkie ogniste kule, i światłem swojem oświecały ziemię, która także jako wielka kula na około słońca krążyć poczęła.

Lecz, jak to ci już rzekłem, była ziemia podonczas cała roztopiona, a że coraz bardziej chłódło naokoło, więc zgęstniała potem jak ciasto, a nareszcie pokryła się tąką cienką skorupką, jak to się czasem staje na błocie po przymrozku, gdy z wierzchu niby twardo, a noga zapada. Skorupa ta na ziemi robiła się coraz grubsza, aż nareszcie zaczęła pękać w różnych miejscach, tak jako i dziś jeszcze pękają gliniane grunta, gdy wielka posucha. A spadła była już podonczas i woda na powierzchnię ziemi; więc gdy się trafiło, że przyszła woda na taką rozpękłą szczelinę i zasączyła się do środka gdzie jeszcze żar był wielki: toż dopiero działy się rzeczy nad wyraz okropne! Zahuczało strasznie we środku ziemi, nareszcie przerywało wątłą jeszcze skorupę, a wtedy owe masy roztopione wybuchały z wielką gwałtownością na wierzch, krzepnąc w kamienie, skały i góry.

Wojtuś słuchał z wielką uwagą, aż go nareszcie język zaczął świerzbieć.

— Mój tatusiu — zapyta — a to może i dziś tak wybuchnąć, skoro ziemia popęka w lato gorące. Ja się bardzo boję!

— Nie bój się mój Wojtku — rzecze pan rymarz śmiejący — nic się nam nie stanie. Najprzód dlatego, że skorupa ziemi jest już dziś znacznie grubszą i przerwać ją nie łatwo, a wreszcie, że jest kilka takich gór, z których to jak z kominów ogniem i roztopioną masą sypie, jeżeli się wewnątrz płynne jądro ziemi zanadto wypręży. Góry takie nazywają się w u l k a n y, a takich wulkanów co najznaczniejszych, jest trzy w Europie.

— Mój tatusiu, to musi być bardzo ładne, kiedy sobie góra ogniem sypie!

— To nie tyle ładne ile straszne, mój Wojtusiu, dlatego, iż nikt naprzód przewidzieć nie może, kiedy wybuch takiej ognistej góry nastąpi. Zaczyna się on zwykle głuchym łos-

kotem podziemnym, któremu i trzęsienie towarzyszy, a łoskot ten wzmaga się coraz bardziej, aż nareszcie przy okropnych grzmotach wybuchają z wnętrza góry nieprzejrzane słupy dymu, popiołu, drobniutkiego piasku i kamyków. Potem dopiero, zaczyna góra wyrzucać ze siebie masę roztopionych kruszców i i kamieni, a masa ta czyli lawa, jako żar czerwona i rozpalona płynie szeroką rzeką po spadzistościach góry i pochłania zboża na polach, kwiaty po łąkach, zapala drzewa i lasy, i tak czasem kilka mil płynie, wszystko w około niszcząc i pochłaniając. Wybuchy takie trwają nieustannie przez kilka dni, a czasem i tygodnie: góra wyrzuca na przemiany to dym i popiół, kamyczki i żużle; to znowu rzekę ognistej lawy, która płynąc dziwny ze siebie dźwięk i huk wydaje.

RÓŻNOŚCI.

Trup gadający. Po wielkich miastach, gdzie są szkoły lekarskie, biorą często ciała zmarłych ludzi ze szpitalu, jeżli na to zezwoli familia, i lekarze krają tego trupa, i dochodzą na co ów człowiek umarł. Tym sposobem dochodzą chorób i uczą siebie i innych, jakich używać leków. I nie jest to rzeczą niegodziwą, bo cóż w tem złego, uczyć się na umarłym, jak ratować żywych? Ale że takich trupów do oglądania i krajania nie można tak łatwo dostać, bo najczęściej familia nie pozwoli, więc też lekarze ciała umarłych nieraz za drogie bardzo pieniądze muszą kupować. Otóż w Ameryce w pewnem wielkiem mieście pewna zgraja łotrów chciała tym sposobem zarabiać pieniądze, że wykopywała z grobów świeżo pogrzebane trupy i sprzedawała je do lekarskiej szkoły, co już jest niegodziwością wielką. Otóż jednego razu kilku takich łotrzyków ukradło z cmentarza trupa, a aby ich nie złapali po drodze żandarmi, przebrali tego trupa w zwykłą odzież i posadzili go na wozie, wioząc go w nocy tak do miasta. Po drodze stanęli pod karczmą i poszli się napić wódki a trupa zostawili na wozie. Wtem nadszedł jakiś wędrowny czeladnik i myśląc że to człowiek siedzi na wozie, począł z nim rozmawiać, kiedy jednak żadnej nie otrzymał odpowiedzi — przystąpił bliżej i poznał że to trup. Domyślał się, co to być może i wpadł na ten koncept. Wziął trupa z wozu i schował go w rów, a sam siadł na jego miejsce na wóz. Tymczasem ci łotrzykowie wrócili i jechali dalej. Naraz widzą, że ich trup się rusza. Strach ich wziął wielki, a tu ów niby trup zrywa się i jak nie krzyknie na nich – tak pozeskakiwali na ziemię i drapnęli na cztery wiatry. Wtedy ów czeladnik pojechał sam z wozem do miasta i oddał go tam urzędowi, gdzie też wszystko rozpowiedział. Konie i wóz zaaresztowano, trupa pochowano a wkrótce też pojmano i owych łotrów.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.